



UKRYTE W CIEMNOŚCI

MROCZNA *Porusa*

Gdy dziewczyna z sekretami
spotyka mężczyznę pełnego tajemnic

D. B. FORYŚ

MROCZNA POKUSA



Copyright ©
D. B. Foryś
Dom Wydawniczy D. B. Foryś
All rights reserved
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
Wrocław, 2021

Redakcja:
Katarzyna Mironczuk

Korekta:
Natalia M. S.
Edyta Giersz
Meg Adams
Carli

Okładka:
Justyna Sieprawska
www.facebook.com/justyna.es.grafik

Skład, łamanie, przygotowanie do druku i rysunki:
Agnieszka Makowska
www.facebook.com/ADMakowska

Druk i oprawa:
WZDZ – Drukarnia „LEGA”
45-301 Opole, ul. Małopolska 18

www.dbforys.pl
www.dbforys.sklep.pl

Numer ISBN: 978-83-962054-0-7

D. B. FORYŚ

UKRYTE W CIEMNOŚCI:
MRO CZNA POKUSA



Gdy dziewczyna z sekretami
spotyka mężczyznę pełnego tajemnic

Wrocław 2021

[Kup książkę](#)

*Powieść dedykuję Meg, mojej najlepszej przyjaciółce na odległość,
Ani, która wierzy we mnie nawet wtedy, gdy ja mam wątpliwości,
oraz moim czytelnikom – bez Was nic nie byłoby takie fajne!*

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Alana, byłam głodna, zmarnięta i przerażona, a on wyglądał jak wszystko, czego powinnam się bać. Jednak nie uciekłam, bo nie miałam dokąd ani po co. Tak już bywa, gdy dziewczyna z sekretami trafia na mężczyznę pełnego tajemnic, który może ją uratować lub doszczętnie zniszczyć.



MÓJ UPADEK

Przeciągnęłam się. Popołudniowa drzemka po wykładach na uczelni była cudowna, chociaż nie tak bardzo, jak pobudka obok mojego faceta. Uniosłam się na łokciu, podparłam brodę ręką i obserwowałam Michała przez kilka chwil. Jego klatka piersiowa rytmicznie falowała, a miękkie usta były lekko uchylone, przez co wydobywał się z nich cichy syk wypuszczonego powietrza. Zaciśnęłam uda, czując pomiędzy nimi znajome pulsowanie. Chłopak wybrał sobie idealną porę na odwiedzinę, bo byłam cholernie napalona.

Nie mieszkaliśmy razem. On wynajmował loft z kumplami, ja pokój – a właściwie poddasze – starego domu, gdzie miałam własną łazienkę oraz coś na wzór garderoby. Jedynie kuchnię dzieliłam z właścicielami na parterze. Jakiś czas temu przebąkivaliśmy o tym, żeby znaleźć jakąś wspólną kawalerkę, jednak to wymagało kasy, której wciąż nam brakowało. Oboje studiowaliśmy, on odbywał staż za śmieszne pieniądze, tymczasem moje zarobki starczały głównie na najpotrzebniejsze wydatki, zatem nie zapowiadało się, byśmy niebawem zrealizowali ten plan. Właśnie dlatego ostatnio dałam mu do siebie klucze, aby mógł wpadać, kiedy zechce. Dziś po raz pierwszy skorzystał z zaproszenia i zamiast zastać mnie czekającą na niego w jakiejś wyuzdanej bieliźnie, trafiło mu się coś całkiem odwrotnego.

Kochanie, zamierzam to natychmiast naprawić.

Uśmiechnęłam się chytrze, zsunęłam się niżej pod kołdrę, żeby obudzić chłopaka w jego ulubiony sposób, niestety zanim

zdażyłam sięgnąć dłonią do spodenek, zadźwięczał alarm w mojej komórce. Kurwa.

– Nie śpię! – Michał przeturlał się na pościeli, patrząc dookoła rozbieganym wzrokiem.

– Cześć – szepnęłam. Dałam mu szybkiego całusa na powitanie, po czym niechętnie wstałam z łóżka. Za godzinę powinnam zjawić się w klubie, gdzie dorabiałam. – Muszę zaraz wychodzić, ale zostań – powiedziałam, gdy obrzucił mnie pytającym spojrzeniem. – Kończę o dwudziestej pierwszej. Potem możemy coś zjeść i obejrzeć film. – Zachęcająco poruszyłam brwiami, zaznaczając, że miałam oczywiście na myśli *Netflix and chill*.

– Kusisz – zamruczał gardłowo. – Niestety będziemy musieli to przełożyć. Jutro rano jadę z szefem na jakiś biznesowy lunch do Katowic. – Przetarł zaspane powieki. – Wrócę po południu. Nadrobimy wieczorem?

Westchnęłam zawiedziona. Nasze życie erotyczne praktycznie nie istniało już od trzech miesięcy. Ciągłe coś nam przeszkadzało: albo moja praca, albo nauka, albo jego całonocne imprezy ze znajomymi, po których dochodził do siebie długimi godzinami, więc byłam zmuszona zaspokajać się własnymi palcami. Sama. Pomału zaczynałam się zastanawiać, czy nasz związek miał jeszcze jakikolwiek sens, skoro widywaliśmy się tylko sporadycznie i najczęściej jedynie po to, żeby pomarudzić, jak nam źle.

– Cóż, twoja strata. – Wzruszyłam ramionami i poszłam się przebrać.

Wolałam milczeć, niż wszczynać niepotrzebną awanturę. Nie zamierzałam przecież o nic żebrać.

* * *

Poniedziałkowe zmiany różniły się od innych. Klub był nieczynny, a do naszych obowiązków należało porządne sprząta-

nie zaplecza, remanent, ważenie i liczenie alkoholi, tworzenie rozpiski z brakami, ustalanie grafiku pracy na przyszły tydzień oraz temu podobne zajęcia. Musieliśmy też uczestniczyć w spotkaniu motywacyjnym.

Mój szef – apodyktyczny, surowy i, jeśli zapytać mnie, odrobinę przerażający – zarządzał paroma lokalami w mieście, prowadząc każdy dość twardą ręką. Nie tolerował lenistwa, konfliktów wśród pracowników, a już w szczególności sprzeciwiania się jego poleceniom. Nie przepadałam za nim i kiedy czasami zostawaliśmy sam na sam w pomieszczeniu, od razu dostawałam dreszczy, ale na szczęście nie zdarzało się to za często. Poza tym fakt, że go nie lubiłam, miał tu najmniejsze znaczenie. Płacił dobrze, przynajmniej jak na tę branżę, zawsze w terminie i nigdy nie przekraczał granicy relacji służbowej, co było wszystkim, czego oczekiwałam od pracodawcy.

– Pod koniec miesiąca odbędą się u nas dwie imprezy zamknięte, obie dla zagranicznych klientów, dlatego zarezerwujcie sobie czas, bo nie oszczędzą napiwków. – Mężczyzna rozpiął guzik marynarki i przysiadł na hokerze przy barze. Napiął silną szczękę, gdy drzwi wejściowe niespodziewanie się otworzyły, a do środka wpadł zziębnięty Tomek, pomocnik barmana. Już mu współczułam.

– Przepraszam, ja...

– Może nie da się tu zarobić kroci, ale na zegarek chyba starczy? – Nozdrza szefa się rozszerzyły. – Ponieważ mi przerwałeś, marnując mój czas, jestem zmuszony wyciągnąć konsekwencje. Zabierz swoje rzeczy. Żegnam.

Tak, zapomniałam. On jeszcze nienawidzi niepunktualności.

– Wiem... Tylko tramwaj... Proszę – dukał zakłopotany chłopak.

– Nie interesuje mnie to! – Szef uderzył pięścią w ladę, aż zadźwięczały poustawiane na niej szklanki, a ja mimowolnie przysunęłam się bliżej kolegów. Świadkiem zwolnienia biedaka była nasza grupa licząca piętnaście osób, oraz stojący kawa-

łek dalej ochroniarz. Właściciel lokalu rzadko wpadał w furję, lecz kiedy ktoś załaził mu za skórę, nie bawił się w uprzejmości. Tomek właśnie spóźnił się po raz trzeci, co najwidoczniej oznaczało koniec jego kariery w tym miejscu. – To wszystko, możecie wracać do zajęć. Resztę omówimy innym razem.

Wstał z siedziska i w milczeniu ruszył na tyły budynku, zapewne do swojego gabinetu. Nikt się nie odezwał, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Nawet Tomek zwątpił i bez dalszej dyskusji udał się ku szatni po przedmioty osobiste, po czym z kwaśną miną opuścił klub.

Cóż, dzisiejszego spotkania motywacyjnym bym nie nazwała...

Całą ekipą uwinęliśmy się z robotą w ekspresowym tempie, aby nie dawać szefowi kolejnych powodów do wybuchu złości. Po powrocie na poddasze domu byłam tak wypompowana, że usnęłam, jak tylko przyłożyłam policzek do poduszki, przez co rano obudziłam się wyjątkowo niemrawa.

Na uniwersytet dotarłam praktycznie na autopilocie, w drodze drzemiąc w autobusie. Miałam dziś raptem trzy ćwiczenia oraz jeden wykład, niestety wypadł on dopiero po prawie dwugodzinnym okienku, a powinnam się na nim zjawić ze względu na omówienie pracy zaliczeniowej. Żeby uniknąć nudy, zabrałam ze sobą laptopa, by przysiąść nad tłumaczeniem, które okazjonalnie przygotowywałam na zlecenie dla dodatkowej kasy. Jednak moje ambitne plany szybko poszły w odstawkę, gdy odebrałam dzwoniący telefon.

– Najcudowniejsza kobieto na świecie, skarbie narodowy...

– Absolutnie nie – przerwałam pełną słodyczy wypowiedź Moniki, koleżanki z klubu, na co usłyszałam w słuchawce jej niemal płaczliwe westchnienie. – Do popołudnia siedzę na uczelni, później widzę się z Michałem. Nie mogę wziąć za ciebie zmiany. Przykro mi.

– Proszę, proszę, proszę. – Nie dawała za wygraną. – Widziałas, co się wczoraj działo? Muszę załatwić coś pilnego i nie zdążę.

Zrobię wszystko, cokolwiek powiesz, zgódź się, błagam. Nie chcę być drugim Tomkiem!

Z językiem odsunęłam komórkę od ucha. Naprawdę nie miałam dzisiaj ochoty na kelnerowanie, a kark nadal mnie bolał po spaniu w niewygodnej pozycji. Chciałam się wreszcie zrelaksować, odpocząć, spędzić przyjemną noc z chłopakiem. Poczuć coś innego niż zmęczenie i niechęć. Brakowało mi dosłownie każdej rzeczy poza pracą.

Rozmasowałam skroń, przewidując nadciągający ból głowy.

– Odstąpisz mi za to imprezę z obcokrajowcami – powiedziałam po namyśle. Każdy z nas załapał się tylko na jedną, by wyszło sprawiedliwie, ale skoro sama zaproponowała, że „zrobi wszystko”, postanowiłam wytoczyć ciężkie działa. Takie eventy zawsze się opłacały, a ja ledwie wiązałam koniec z końcem.

Monika milczała przez kilkanaście sekund.

– W porządku – skapitulowała niechętnie. – Twarda z ciebie negocjatorka.

Uśmiechnęłam się z satysfakcją i zamknęłam laptopa. Zaliczenie semestralne będę musiała omówić innym razem, Michała jakoś udobrucham, z kolei wysypianie się to przereklamowana sprawa. Istniała za to spora szansa, że niebawem zjem coś bez dopisku *instant* w nazwie. Dziewczyna na dorobku nie ma lekko.

Trzeba sobie radzić.

* * *

We wtorki w klubie nigdy nie było tłumów. Zazwyczaj lokal pustoszał już po dwudziestej drugiej, a pojedynczy klienci nie zostawiali dużych napiwków, które stanowiły główny powód tego, że pracowałam w tym miejscu. W piątki i soboty potrafiłam zarobić naprawdę fajne pieniądze, ale by się załapać na jedną z weekendowych zmian albo – jak w tym przypadku – na dodatkowe zlecenie, musiałam brać i te cieszące się mniejszą popularnością.

Coś za coś.

Głośna muzyka dudniła w głośnikach, ludzie przychodzili, zamawiali drinki i wychodzili. W dni takie jak dziś zaglądali tu głównie studenci albo ludzie z korporacji. Roboty za wiele nie było, czas się dłużył, ale zanim niedobitki wyszły za próg, i tak padałam ze zmęczenia.

– Lecę. Ty też zaraz kończ. – Anka zapięła kurtkę i owinęła szyję szalikiem. – Dobranoc.

– Pa. Do jutra. – Posłałam koleżance krótki uśmiech, następnie schyliłam się po stojący za barem kosz na odpadki. Musiałam jeszcze tylko zrobić ostatnie porządki i będę mogła wrócić do domu.

Dziewczyna zatrzasnęła za sobą drzwi, wtedy w pomieszczeniu zapadła cisza. Dziś przypadała moja kolej zamknięcia knajpy, co oznaczało, że po jej wyjściu zostałam sama. Nie lubiłam tych momentów, dlatego w miarę szybko zgarnęłam resztę śmieci do dużego worka, dotaszczyłam go do tylnych drzwi i ruszyłam do szatni, żeby zabrać stamtąd swoje rzeczy. Zawsze tak robiłam, bo od kontenerów miałam krótszą drogę na przystanek, a późną jesienią, w dodatku nocą, liczyła się każda sekunda mniej spędzona na chłodzie.

Kiedy szłam na zaplecze, usłyszałam czyjeś podniesione głosy. Zmarszczyłam brwi, nasłuchując, skąd dochodziły. Byłam pewna, że wszyscy już pouciekali, ale najwyraźniej się myliłam i przebywał tu jeszcze ktoś z załogi. Zwolniłam tempo. Im bliżej celu się znajdowałam, tym bardziej czułam, że powinnam zawrócić. Krzyki brzmiały coraz wyraźniej, oba męskie i groźne, a gdzieś spośród nich wyłaniał się trzeci – piskliwy i błagalny.

Postanowiłam się w to nie mieszać. Odkąd zaczęłam tutaj pracować, zdarzyło mi się już widzieć to i tamto, z czego nigdy nic dobrego nie wynikało. Czym prędzej czmychnęłam do przebieralni, zgarnęłam z niej kurtkę i plecak, później podążyłam

w stronę wyjścia, lecz gdy minęłam pokój socjalny, zauważyłam, że drzwi do gabinetu szefa były uchylone. Ciekawość wygrała.

Zajrzałam przez lukę i od razu tego pożałowałam. Właściciel lokalu pastwił się nad jakimś klęczącym na podłodze facetem. Gość wyglądał na poobijanego i niezłe przerażonego. Gestykował, raz za razem wydając z siebie niezrozumiałe dźwięki, na co mój przełożony oraz stojący obok niego obcy mężczyzna reagowali głośnym śmiechem. Przełknęłam ślinę. Niczego nie rozumiałam, ale podejrzewałam, że zdecydowanie nie powinnam tego oglądać. Zrobiłam krok w tył, aby odejść, niestety zanim zdążyłam zawrócić, szef wyjął pistolet zza paska spodni i z niego wystrzelił.

Serce mi zamarło, adrenalina eksplodowała w żyłach, a pot spłynął po plecach w tej samej chwili, w której krew rozbryzgała się na ścianie. Nieznajomy już nie prosił o litość. Osunął się na posadzkę, plamiąc ją czerwienią. Wiedziałam, że muszę jak najszybciej stąd uciec, ale nie mogłam się poruszyć. Po prostu skamieniałam ze strachu i niedowierzania. W oczach zakółsały mi się łzy. Myślałam, że nic więcej się nie wydarzy, wówczas nieszczęśnik cicho jęknął. Nadal żył.

Przeszło mi przez myśl, żeby wezwać policję albo pogotowie, jednak zanim ten pomysł zdążył na dłużej zakorzenić się w moim umyśle, szef zaklął, potem wystrzelił ponownie. Pisnęłam. Krótko i niemal niesłyszalnie, do tego szybko zasłoniłam usta ręką, lecz to nie wystarczyło. Uwaga obu mężczyzn skupiła się na mnie.

Przez kilka, może kilkanaście sekund mierzyliśmy się spojrzeniami. Przełożony powiedział coś do towarzysza i wskazał na mnie, a ten ruszył w tę stronę. Dopiero wtedy się ocknęłam. Cokolwiek miało się zaraz wydarzyć, byłam na tyle rozgarnięta, by wiedzieć, że nie chcieli ze mną wyłącznie porozmawiać. Właśnie zostałam świadkiem brutalnego zabójstwa z premedytacją. Musiałam natychmiast stąd wiać!

Momentalnie rzuciłam się do ucieczki, słysząc za sobą głośny stukot uderzających o podłogę butów. Szum rozsadzał mi uszy, dłonie drżały, nogi odmawiały posłuszeństwa, ale strach okazał się wystarczającą motywacją. Migiem dopadłam do wyjścia, pchnęłam drzwi i wybiegłam na zewnątrz. Byłam zbyt przerażona, by się odwrócić lub choćby zerknąć przez ramię. Nie miałam czasu na wątpliwości.

Szaleńczym sprintem ominęłam śmietniki, ślizgając się na zamrożonej kostce brukowej, aż wyskoczyłam na ulicę. Mężczyzna za mną wołał, dyszał, wyzywał mnie w coraz wulgarniejszy sposób. To tylko dodawało mi energii. Przebiegłam przez jezdnię, następnie na skróty wąską alejką niedaleko parku i dotarłam do postoju taksówek.

Bez zastanowienia wsiałam do najbliższej z taryf, gwałtownie zatrzaskując za sobą drzwi.

– Jeśli pan... Teraz ruszy... – wydyszałam ostatkiem sił. – Zapłacę podwójnie.

Kierowca rzucił mi zdeorientowane spojrzenie we wstecznym lusterku, aczkolwiek spełnił moją prośbę. Uruchomił silnik, nacisnął kierunkowskaz i pomału włączył się do ruchu. Odczekałam chwilę. Spojrzałam w tył, dopiero gdy przejechaliśmy parę metrów. Nikogo nie zauważyłam. Facet, który mnie gonił, musiał odpuścić lub wymyślić coś innego. Niestety to wcale nie sprawiło, że poczułam ulgę, nawet minimalną. Wręcz przeciwnie.

Coś mi się wydawało, że moja klęska właśnie się rozpoczyna.



MÓJ BŁĄD

Do domu weszłam tylko na chwilę. Spędziłam tam jakieś dziesięć minut, czyli dokładnie tyle, ile potrzebowałam, aby spakować do walizki najpotrzebniejsze rzeczy. W klubie znali mój adres, więc przeczuwałam, że to właśnie tutaj będą mnie szukać w pierwszej kolejności. Zostawiłam właścicielom notatkę, w której wyjaśniłam, że muszę wyjechać na kilka dni, później po cichu opuściłam budynek.

Nie bardzo wiedziałam, co robić dalej. Zamarzyłam o tym, żeby pójść do Michała i ukryć się w jego silnych ramionach, jednak nie chciałam narażać go na niebezpieczeństwo. Musiałabym wyznać mu prawdę, a to mogłoby okazać się fatalne w skutkach. Chłopak kazałby mi iść na policję, powiadomić rodziców i Bóg wie kogo jeszcze, mając oczywiście rację, bo sama poradziłabym identyczne rozwiązanie komuś w mojej sytuacji. Tyle że chodziło tu o moje życie, moją przyszłość, MÓJ pieprzony interes.

Lawirowałam na granicy postradania zmysłów. Bałam się jak jasny gwint, myśli galopowały mi w głowie, a ja kalkulowałam i szacowałam wybór najlepszej opcji. Jakimś cudem wierzyłam, że to wszystko dało się prosto wytłumaczyć. W moim świecie nie zabijało się ludzi z zimną krwią – rozmawiało się i rozwiązywało problemy. Skrycie liczyłam, że może jeśli zadzwonię do szefa, przeproszę za wścibstwo, po czym obiecuję, że to się więcej nie powtórzy, puścimy to w niepamięć. Tylko z jakiegoś względu nie potrafiłam się zdobyć na wybranie jego numeru. Chyba podświadomie czułam, że to nie skończy się tak łatwo.

Ostatecznie uznałam, że najmądrzejszym rozwiązaniem będzie przeczekanie. Pojechałam na dworzec, żeby wsiąść w najbliższy pociąg do Przemyśla, mojego rodzinnego miasta. Nie zamierzałam odwiedzać rodziców, bo to zrodziłoby pytania, na które na razie nie chciałam odpowiadać nawet przed samą sobą. Postanowiłam na kilka dni zatrzymać się w domu po babci. Był rudera, w dodatku wystawioną na sprzedaż, ale wiedziałam, że nikt mnie tam nie znajdzie. W portfelu miałam maksymalnie parę stów, na koncie oszczędnościowym niewiele więcej, stąd nic mądrzejszego nie wymyśliłam.

Posiedzę trochę w odosobnieniu, wyśpię się, najem, potem rozważę, jak z tego wybrnąć.

Będzie dobrze.

* * *

Najbliższy pociąg odjeżdżał dopiero kwadrans po piątej rano. Do tego czasu dreptałam od peronu do peronu, nie chcąc zostać w jednym miejscu. Z duszą na ramieniu obserwowałam przechodzących obok mnie ludzi, w każdym z nich widziałam potencjalne zagrożenie, a włos jeżył mi się na karku, jak tylko ktoś stawał za blisko.

Krótką drzemka w trakcie jazdy odebrała mi resztki sił i nadziei na to, że wszystko jakoś się ułoży. Kiedy zamykałam oczy, pod powiekami pojawiał się obraz krwi, martwego mężczyzny z klubu, błagalnego wyrazu jego twarzy, gasnącego w nim życia. Wyrwałam się ze snu cała spocona, przerażona i rozdygotana. Ręce i nogi trzęsły mi się ze strachu, a sumienie zaczynało zżerać wnętrze. Wariowałam.

Gdy po dziewiątej dotarłam do Przemyśla, nieco się uspokoiłam. Wciąż wstrząsał mną strach, jednak myśl o tym, że znajdowałam się prawie trzysta kilometrów od problemów, zadziałała orzeźwiająco. Zrobiłam zakupy, następnie złapałam taryfę i po-

jechałam do domu po babci. Budynek stał na uboczu, mieszkało tam może ze trzech sąsiadów, niemniej dla bezpieczeństwa poprosiłam kierowcę, aby mnie wysadził uliczkę wcześniej. Resztę trasy pokonałam pieszo, po czym weszłam do środka tylnymi drzwiami, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

Wewnątrz było pusto, chłodno i cicho. Pojedyncze meble pokrywała folia ochronna, prąd został wyłączony, a pomieszczeń nie ogrzewano pewnie od poprzedniej zimy. Mimo wszystko nie mogłam narzekać. Miałam bezpieczne schronienie, dach nad głową oraz czas, by przemyśleć swoją sytuację i jakoś z niej wybrnąć.

W kuchni znalazłam butlę gazową, więc zagotowałam wodę na herbatę i zrobiłam kanapki. Zdjęłam z siebie tylko szalik i rękawiczki, bo ciągnący od nieszczelnych okien wiatr sprawiał, że nie dałoby się tu wysiedzieć w samym swetrze. Wzięłam kęs, drugi, trzeci. Kiedy przełykałam czwarty, zatarabaniła moja komórka. Michał od rana próbował się ze mną skontaktować, miałam od niego pełno nieodebranych połączeń oraz kilka esemesów, ale wciąż je ignorowałam. Nie wiedziałam, co powinnam mu powiedzieć. Nie chciałam go w to wciągać, zanim sama nie wykombinuję, jak się z tego wyplątać.

Odsunęłam od siebie talerz z niedojedzonym posiłkiem, całkiem tracąc apetyt. Nie byłam jeszcze gotowa mierzyć się z własnymi myślami. Zamiast ślęczeć nad półmiskiem, postanowiłam wykorzystać to, że na zewnątrz świeciło słońce. Wstałam od stołu i poszłam pozwiedzać znajome wnętrza. Rodzice pozbyli się wszystkich należących do babci przedmiotów, zostało jedynie trochę mniej zużytych sprzętów czy szafek, lecz przypomniało mi się, jak mówili, że zanieśli na strych pudła z pamiątkami, żeby je stąd zabrać dopiero po sprzedaży domu.

Trzeszczącymi schodami weszłam na najwyższe piętro. Usiadłam na zakurzonej podłodze, przyciągnęłam do siebie jeden z kartonów i zaczęłam przeglądać jego zawartość. W powietrzu tańczyły drobne pyłki zmieszane z ciut zwietrzałym zapachem

kwiatowych perfum. Uśmiechnęłam się, czując je wokół, potem wyjęłam metalową pozytywkę. Po nakręceniu zabawka wydała kojący dźwięk, choć zniszczona baletnica nie drgnęła ani o milimetr. Wsłuchałam się w klasyczną melodię i zabrałam za oglądanie reszty. Znalazłam zaśniedziałą biżuterię, jakiś stary medal wojskowy, obraz anioła stróża w pozłacanej ramie oraz inne tego typu drobiazgi.

W drugim pojemniku natknęłam się na pożółkłe dokumenty, rozliczenia podatkowe, świadectwa pracy, akt ślubu, dawne dyplomy, a także stos moich rysunków z dzieciństwa. To było dośyć dziwne, że uznano je za warte zachowania, mimo to zrobiło mi się ciepło na sercu. Kolejna paczka zawierała albumy z czarno-białymi zdjęciami jeszcze sprzed moich narodzin. Odłożyłam je na bok, bo nie znałam większości widniejących na nich osób, za to zapatrzyłam się dłużej w fotografię przedstawiającą całą naszą rodzinę podczas jakiegoś zjazdu. Dziadkowie uśmiechali się do obiektywu, mama z tatą wpatrywali się w siebie jak zakochani nastolatki, ciotki z wujkami siedzieli przy stole, pili szampana albo zajadali smakołyki, ktoś kroił tort, tymczasem ja bawiłam się na dywanie z kuzynostwem. Wszyscy wyglądaliśmy na tak szczęśliwych, że po policzkach mimowolnie spłynęły mi łzy.

Przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej i przez kilka minut tkwiłam w bezruchu, później otarłam twarz rękawem, nie chcąc dalej się nad sobą uzalać. Pochowałam pamiątki z powrotem, zepchnęłam pudła pod ścianę, po czym wróciłam na dół zabrać walizkę. Aby jakoś odciągnąć uwagę od snucia przerażających wizji przyszłości, wzięłam się za szykowanie miejsca do spania. Nadal było wcześnie, zegar wskazywał dopiero piętnastą, ale o tej porze roku szybko robiło się ciemno, natomiast wolałam nie włączać bezpieczników, by przypadkiem nikogo nie zaalarmować. Poszłam na piętro, rozstałam świece w sypialni, wyjęłam koce z szafy i pościeliłam

wysłużoną wersalkę, na której kiedyś nocowałam, gdy odwiedzałam babcię.

Zmierzch nastał prędzej, niż się spodziewałam, a wraz z nim nasilił się mój lęk. Długo nie mogłam zasnąć, nawiedzana przez niechciane urywki wspomnień, aż wreszcie odpłynęłam z wycieńczenia. Miałam nadzieję, że odpoczynek przyniesie mi odrobinę upragnionej ulgi.

* * *

Nocą nawiedzały mnie koszmary. Budziłam się parę razy, cała mokra i rozdygotana, marząc o nadejściu świtu. Nowy dzień zaczęłam od przejrzania krakowskich serwisów informacyjnych w komórce. Internet mobilny miał tu bardzo słaby zasięg, ale nigdzie mi się nie spieszyło. Z jakiegoś powodu spodziewałam się znaleźć wzmiankę na temat brutalnego zabójstwa w centrum miasta, niestety żaden z portali nie napisał o tym nawet zdania, co dało jasny przekaz, że szef musiał skrzętnie zatrzeć wszelkie ślady. Przeraziło mnie, kiedy sobie pomyślałam, że być może nie robił tego pierwszy raz, skoro tak łatwo mu poszło.

Kurwa, w co ja się wpakowałam?!

Po dziewiątej Michał znów nagrał mi serię wiadomości głosowych, których nie odsłuchałam, oraz napisał esemesy, które akurat odważyłam się odczytać. Jego początkowa troska szybko przeszła w pełne wściekłości wyrzuty, gdy najwyraźniej przestał martwić się o mój los i przeszedł do oskarżeń o brak szacunku. Domagał się wyjaśnień, rozumiałam go, mimo to nadal nie miałam siły z nim porozmawiać.

Do południa nadeszło więcej nieodebranych połączeń, w tym także od znajomych z pracy, co nasiliło mój niepokój. W domu panowała taka głusza, że każdy głośniejszy dźwięk brzmiał niczym wynaturzenie, odbierając mi całą samokontrolę, dlatego w końcu wyciszyłam telefon i schowałam go do walizki, żeby

od niego odpocząć. Dreptałam po salonie, kuchni, pokojach, potem na chwilę wyszłam do ogródu zaczerpnąć świeżego powietrza, ale niewiele to pomogło. Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić. Bałam się, że niebawem postradam zmysły.

Zjadłam prowizoryczny obiad, zdrzemnęłam się, wzięłam prysznic w zimnej wodzie, znowu poszłam spać, wypiliśmy gorącą herbatę, a komórka wciąż cicho wibrowała pod stertą ubrań w bagażu. Kiedy już nie mogłam jej znieść i postanowiłam ją wyłączyć, nim się rozładuje, zastygłam na widok komunikatu na wyświetlaczu: *Numer nieznaný*.

Mógł dzwonić ktokolwiek, jednak natrętny głos z tyłu głowy podpowiadał raptem jedną osobę. Strach kazał nie reagować, odwaga wyparowała, gardło zaschło, za to rozsądek wręcz krzyczał, bym przestała tchórzyć. Jeśli istniała minimalna szansa na wypracowanie jakiegoś kompromisu, musiałam z niej skorzystać.

Wzięłam głęboki wdech i drżącą ręką odebrałam połączenie.

– Słucham. – Odchrząknęłam. Za wszelką cenę próbowałam utrzymać zimną krew.

– Witaj, Kornelio. – W odpowiedzi usłyszałam męski głos. Szeł był spokojny i opanowany, choć nie dało się nie wyczuć ostrzeżenia w tych wypowiedzianych przez niego dwóch słowach. Tyle wystarczyło, aby mój puls przyspieszył, dudniąc w uszach na alarm. – Zapewne już się domyśliłaś, że nie jest dobrze, inaczej zostałabyś w Krakowie. Chciałbym udawać, że błędnie zinterpretowałaś to, co widziałas...

– Niczego nie widziałam – przerwałam mu. – Nie zamierzam też wracać. Nigdy. Proszę o mnie zapomnieć.

Szeł gorzko się zaśmiał, aż poczułam ukłucie w żołądku.

– Niestety nie mogę – kontynuował teraz już praktycznie wyprutym z emocji tonem. – Zaimponowałaś mi szybkością, z jaką opuściłaś miasto, to prawda, ale wiem, że nie zdołasz ukrywać się w nieskończoność. W końcu będziesz chciała odzyskać życie, a wtedy podejmiesz kroki, które oboje nas wpędzą w kłopoty.

Przyjeźdź, zanim sam cię znajdę, bo że znajdę, to wyłącznie kwestia czasu. Zrób to dla własnego dobra.

– Nie znajdzie mnie pan, obiecuję – przekonywałam. – Wyjadę daleko, za granicę, na inny kontynent...

– Zamknij się. To nie są negocjacje – wysyczał, zdradzając bezwzględna naturę, którą widziałam w nim od dawna. – Jeśli sama do mnie przyjdiesz, potraktuję cię... Łagodnie. Jeśli namierzą cię moi ludzie, nie ręcę za nich. Radzę ci, Kornelio, dobrze to przemyśl – zakończył. Ostatni wyraz wrył mi się w umysł niczym wiertło.

Kiedy po drugiej stronie zapadła cisza, z hukiem odłożyłam telefon na bok, jakby dłuższe ściskanie go w palcach mogło mnie poparzyć. Pochyliłam głowę i ukryłam twarz w dłoniach, gorączkowo zastanawiając się, czy był to jedynie zbieg okoliczności, że użył dokładnie tego wyrażenia, czy może okrutna gra słów, która miała mi uświadomić, że mężczyzna doskonale wie, gdzie się ukryłam.

Postawiłam na to pierwsze. Nie mogłam popadać w nonsens. Nikt w klubie nie posiadał informacji o tym, że moja rodzina jest właścicielem starego domu na szarym końcu Polski. Mieli natomiast świadomość, że właśnie stąd pochodzę, bo podawałam im takie dane, gdy przyjmowali mnie do pracy. Idąc tym tropem – jeśli będą pytać i drażyć – zdołają się tego dowiedzieć.

Kurwa!

Starałam się zachować zdrowy rozsądek. Choć w pierwszej chwili chciałam się spakować i uciec, zdałam sobie sprawę, że taka może być ich strategia. Wykurzą mnie z kryjówki, po czym znajdą bez problemu, jak tylko zaczną w panice biegać po mieście. Postanowiłam zostać, ponieważ byłam tu bezpieczna. Nie miałam co do tego wątpliwości. Jedyne logiczne rozwiązanie to siedzieć na dupie i nie dać się zagonić w pułapkę.

* * *

Kolejny dzień był koszmarny. Pusty dom, samotność oraz niewiedza doprowadziły mnie do lekkiej paranoi, przez co podskakiwałam niespokojnie za każdym razem, jak tylko usłyszałam głośniejszy szelest. Czułam, że jeśli nie osiwieję, niebawem z nerwów powyrywam sobie wszystkie włosy z głowy, dlatego późnym popołudniem udałam się na spacer po okolicy.

Na dworze robiło się coraz chłodniej, mżyło, a powiewy wiatru nieprzyjemnie chłostały szyję. Po krótkiej przechadzce parkową alejką wstąpiłam do miejscowej kawiarni. Usiadłam z kubkiem latte w najbardziej oddalonym od szyby kącie, gdzie mogłam jednocześnie podładować baterię w telefonie, następnie przewertowałam jedno z dostępnych dla klientów czasopism, dumając nad dalszym życiem.

Wyglądało na to, że powrót do Krakowa definitywnie odpadał, wizyta u rodziców też brzmiała ryzykownie, musiałam więc opracować inne rozwiązanie. Dłuższe ukrywanie się w tym miejscu wpakuje mnie wyłącznie w większe kłopoty, gdy ktoś z biura nieruchomości postanowi wpaść z wizytą i odkryje dziokiego lokatora. Niestety problem polegał na tym, że aktualny stan konta nie dawał mi zbyt wielkich możliwości.

W połowie picia kawy doszłam do wniosku, że moja sytuacja nie była wcale aż taka beznadziejna. Zawsze mogłam wziąć szybki kredyt studencki – banki na pewno miały coś w ofercie – potem kupić bilet na samolot lub zaoszczędzić i spróbować wyjechać z kraju autostopem, co wbrew pozorom wydawało się nawet bezpieczniejsze, bo nie wymagało okazywania dokumentów. Kiedy już przekroczyć granicę i odetchnę z ulgą, znajdę jakąś pracę, która pozwoli mi przetrwać, aż nie wymyślę czegoś lepszego.

Do domu dotarłam z całkiem pozytywnym nastawieniem, lecz jak tylko zapadł zmrok, wątpliwości znowu dały o sobie znać. Za dnia mogłam udawać, że w miarę utrzymywałam kontrolę, ale nocą wszystko zaczynało mi przypominać o podłym koszmarze. Leżałam w kurtce, nakryta przesiąkniętą kurzem narzutą,

tępo wpatrywałam się w sufit i w kółko analizowałam przebieg rozmowy telefonicznej z szefem. *Przemyśl, przemyśl, przemyśl* bez przerwy huczało mi w głowie niczym jakaś pieprzona mantra.

Jeśli chciał tym sprawić, że oszaleję, naprawdę działało.

Osiągnęło też inny skutek – zaczęłam się zastanawiać, czy ktoś z klubu znał mnie na tyle dobrze, że mógłby wiedzieć o tej lokalizacji. Nie przyjaźniłam się z nikim ze współpracowników, za to czasem wychodziliśmy na drinka albo po prostu gadaliśmy, aby czas płynął znośniej. Raczej nigdy im nie wspominałam o rozpadającej się ruinie na zadupiu Polski, jednak nie byłam w stanie wykluczyć, że ktoś zdoła odkryć takie informacje. Większość kolegów znała mojego faceta, zawsze zamieniali z nim kilka zdań, gdy chłopak czekał, aż zbiorę się do wyjścia. To naciągana teoria, ale wcale nie taka nierealna, jak mogłoby się wydawać. Szef przerażał praktycznie każdego w knajpie. Odrobina perswazji potrafiłaby zachęcić kogoś do zyskania w jego oczach.

Zdarłam z siebie koc i po namyśle wybrałam numer Michała. I tak już wystarczająco z tym zwlekałam.

– No nareszcie! – Usłyszałam w słuchawce jego gniewny głos. – Czy ty masz pojęcie, jaki jestem na ciebie wściekły? Wyjechałaś z miasta? Tak bez słowa? – warczał. – Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia, nie sądzisz?

Zakląłam wewnętrznie.

– Tak, to prawda, i wszystko ci opowiem, obiecuję, ale najpierw muszę coś wiedzieć. – Przełknęłam ślinę. – Rozmawiałeś z kimś na mój temat? Albo ktoś z klubu próbował się z tobą kontaktować?

– Właśnie dlatego dzwonicz? Żeby sobie urządzić przesłuchanie? – syknął. – Jesteś niewiarygodna.

– Wiem, masz prawo się złościć, rozumiem cię i zaraz o tym pogadamy, tylko proszę, na razie się skup – jęknęłam. – Ktoś o mnie pytał? To ważne.

Chłopak stęknął, po czym głośno czymś trzasnął. Wyobraziłam sobie, że pewnie robi teraz jedną ze swoich wkurzonych min. Uwielbiał mnie nimi torturować podczas naszych sprzeczek, gdy poruszana kwestia ewidentnie była dla niego niewygodna. Niestety tym razem nie zamierzałam mu odpuszczać.

– Michał, błagam! – ponagliłam z walącym sercem. – Pytał czy nie?

– W sumie to tak – przyznał po chwili namysłu. – Ta twoja chuda koleżanka z różowymi włosami szukała cię pod twoim domem. Wpadłem tam na nią wczoraj rano, kiedy zajrzałem sprawdzić, czy wróciłaś, ale niczego jej nie powiedziałem, bo przecież sam nie wiem, gdzie jesteś – dodał oskarżycielskim tonem. – Oświecisz mnie teraz, dlaczego zniknęłaś w tajemnicy? – naciskał zniecierpliwiony.

Poczułam napływającą falę gorąca. *To Anka.*

– O czym rozmawialiście? Co chciała wiedzieć? – drażyłam, ignorując jego dociekliwość. Wytlumaczę mu wszystko, jednak najpierw muszę przeżyć! – O przemyskim domu mojej babci wspominałeś?

Powiedz, że nie, powiedz, że nie, powiedz, że nie...

– Cholera, Nelka, nie wiem! – zawołał ze złością. – To trwało z pół minuty. Może i mówiłem, nie pamiętam. Byłem zbyt rozkojarzony twoją nagłą ucieczką – przypomniał. – Masz pięć sekund, by zacząć mnie wtajemniczać w swój idiotyczny wyskok, inaczej to koniec.

– Koniec? – powtórzyłam zmieszana. – Koniec, tak? Koniec? Chcesz ze mną zerwać?

Zaśmiał się kpiąco do słuchawki.

– A jak to sobie wyobrażasz? Spakowałaś manatki i zwiataś w środku nocy, nie rozumiem po co, z kim ani dokąd, z kolei ty migasz się od odpowiedzi. Zamierzasz w ogóle wrócić? Jeżeli tak, czekam na wyjaśnienia, jeżeli nie, chyba nie ma sensu tego ciągnąć, co? – Westchnął. – Nie kręci mnie związek na odległość.

Przygryzłam wargę. Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo przekreślał wszystko, co nas łączyło. Byliśmy parą od prawie

dwóch lat, snuliśmy wspólne plany, chcieliśmy razem zamieszkać, a wystarczył mały zgrzyt, by on już się poddał. Z drugiej strony faktycznie nie przewidywałam powrotu do Krakowa, ani ogólnie zostania w kraju, więc może powinnam pozwolić mu odejść? W ten sposób mogłabym go przynajmniej ochronić. Mieliśmy swoje problemy, ostatnio nie układało nam się za dobrze, ale mi na nim zależało.

Boże, czym sobie na to zasłużyłam?!

– Dobrze, rozstańmy się, skoro tego właśnie chcesz – wydukałam z trudem.

– Nie powiedziałem, że tego chcę! – wrzasnął. – Po prostu... Masz kogoś, tak? – rzucił nagle. – To dlatego wyjechałaś? Żeby z nim być? Mów prawdę!

Zaniemówiłam na moment, aby zdusić łzy.

– Tak – skłamałam. Lepiej niech powtarza ludziom, że go zdradziłam, wtedy przestaną o mnie wypytywać. Wolałam uchodzić za sukę, za to żywą. – Przepraszam, ja... Przepraszam.

Rozłączyłam się. Dalsza dyskusja była bez sensu. Miałam ochotę krzyczeć, by pozbyć się nagromadzonych emocji, lecz zamiast tego po cichu zapłakałam. Strach mieszał się z bezsilnością, ból w klatce piersiowej odbierał oddech, żołądek skręcał się w supeł. Nie wiedziałam, co zrobić jako pierwsze: zwymiotować czy stąd zniknąć?

Przełknęłam gulę w gardle i wystukałam esemesa do Anki.

Dlaczego rozmawiałaś z moim chłopakiem?

Ktoś w klubie o mnie pytał?

W oczekiwaniu na jej odpowiedź zaczęłam prędko zbierać po pokoju swoje rzeczy i ponownie wrzucać je do walizki. Nie było tego dużo, zdążyłam wypakować raptem kosmetyczkę oraz kilka cieplejszych ubrań, które zamierzałam na siebie

założyć, gdyby noc okazała się zimniejsza, niż przypuszczałam. W tej chwili straciło to jednak na ważności, bo mój pobyt w tym miejscu właśnie dobiegał końca.

Postawiłam bagaż w korytarzu. Rozejrzałam się wokół, by sprawdzić, czy czegoś nie zostawiłam, wówczas nadeszła wiadomość. Bałam się tego, co zawierała, lecz jednocześnie musiałam wiedzieć.

Tak, przykro mi. Nie mam pojęcia, gdzie jesteś, ale szef wpadł w szal, więc popytałam i przekazałam mu, czego zdołałam się dowiedzieć. Pewnie niebawem cię namierzą.

Ledwie skończyłam czytać, gdy dostałam kolejną.

Albo wiesz co? Nie, nie jest mi przykro. Zachciało ci się zadzierać z pieprzonymi bandziorami, to teraz radź sobie sama. Ja nie zamierzam ponosić kary za twoją głupotę. Żegnaj.

Nie potrzebowałam niczego więcej. Wsunęłam telefon do kieszeni spodni, zapięłam kurtkę, owinęłam szyję szalikiem, potem zgarnęłam walizkę i migiem zbiegłam po schodach. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób mogłam pracować z tymi ludźmi przez kilka miesięcy, nie domyślając się, że byli brutalnymi przestępcami. Zawsze mili, elegancko ubrani, kulturalni oraz pomocni skutecznie mnie oszukali.

Albo może od początku podejrzewałam ich o wątpliwe interesy, ale zwyczajnie udawałam, że to nieprawda, bo to by oznaczało, że nie jestem lepsza od nich. Wolałam odwracać wzrok, kiedy działo się coś szemranego, ponieważ bardziej przejmowałam się tym, czy moja tygodniówka zostanie wypłacona w terminie. Taka właśnie byłam – zaślepiona sowitymi napiwkami, łatwowierna i skupiona na byle jakiej karierze.

Teraz gorzko tego żałowałam.

Na parterze panowała ciemność, musiałam więc iść bardzo ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Znałam ten budynek, pamiętałam rozkład pomieszczeń, lecz od czasu śmierci babci wiele się w nim zmieniło. Szczególnie w nocy wydawał się zupełnie obcym miejscem, jakby utracił duszę wraz z właścicielką.

Mój puls przyspieszył, a serce zamarło na parę uderzeń, gdy niespodziewanie dosłyszałam jakiś szmer za oknem. Nikogo nie dostrzegłam, niemniej mogłabym przysiąc, że zarejestrowałam czyjś głośniejszy szepot. Czym prędzej pognałam do tylnych drzwi, aby wyskoczyć na zewnątrz, po czym od razu zamarzyłam wrócić do środka.

Wpadłam prosto w zasadzkę.

Przegrałam.



MÓJ STRACH

Naprzeciw mnie stało dwóch mężczyzn – obaj wysocy, barczyści i niebezpieczni. W jednym z nich momentalnie rozpoznałam faceta z gabinetu szefa, lecz to ten drugi wzbudził mój lęk. Bezwzględność miał wypisaną na całej twarzy. Przymrużone oczy oraz fałszywy uśmiech dawały jasno do zrozumienia, że nie czekało mnie przy nim nic przyjemnego.

W akcie desperacji upuściłam walizkę i spróbowałam jakoś między nimi przebiec. Niestety bezskutecznie.

– Oj, lala. Nie tak prędko. – Usłyszałam tuż przy uchu, gdy jeden z nich pochwycił mnie w ramiona, mocno przyciskając tors do moich pleców. Poczułam na policzku jego ciężki, śmierzdzący papierosami oddech, na co od razu się wzdrygnęłam. – Waleczna, co? – rzucił wesoło do kumpla.

Obaj głośno zarechotali.

– Puszczaj! – wrzasnęłam. Zaczęłam wymachiwać rękami i nogami, by jakoś wydostać się z potrzasku, ale to jedynie jeszcze bardziej rozwścieczyło mojego oprawcę. Zacieśnił uścisk, aż z trudem mogłam oddychać. Z sekundy na sekundę bałam się coraz mocniej. – Puść – powtórzyłam błagalnie, wtedy zakrył spoconą dłonią moje usta, aby mnie uciszyć. Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Zabieraj ją i spadamy – rozkazał ten z klubu. Stał z tyłu, więc nie mogłam go dostrzec, lecz władczy ton jego głosu wystarczył, żebym zrozumiała, że to on tutaj rządził.

Szamotałam się, kopałam i wrywałam, podczas gdy mężczyzna ciągnął mnie w stronę furtki. Kiedy moim oczom ukazał

się zaparkowany tam samochód, całkiem oszalałam. Wiedziałam, że jeśli do niego wsiądę, niewiele już zdołam zdziałać. Jeżeli miałam coś wykombinować, to właśnie teraz.

Z braku lepszych możliwości nadepnęłam na stopę nieznanego, a jak tylko zakuśtykał, ugryzłam go w rękę. Faktycznie podziałało, bo mnie puścił, mimo to nie uciekałam daleko. Zrobiłam może ze dwa kroki, a twarda pięść wylądowała na mojej twarzy. Uderzenie było nokautujące. Zachwiałam się, wpadając ponownie w ramiona bandziora. Poczułam na języku metaliczny posmak krwi, powieki zaś natychmiast podeszły łzami.

– Szmata! – Facet mną szarpnął i ruszył w kierunku auta.

Reszta potoczyła się błyskawicznie. Mężczyźni przystanęli obok pojazdu – jeden z nich mnie trzymał, drugi założył opaski zaciskowe na moje nadgarstki i kostki, po czym silnie je zaciągnął. Dosłyszałam skrzypiący hałas otwieranego bagażnika. Nim się zorientowałam, co zamierzają, wylądowałam w jego wnętrzu. Nie pomogły ani wrzaski, ani piski, ani błagalne wołania. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, zanim kłapa opadła z hukiem, były nieprzeniknione miny moich porywaczy.

* * *

Jechaliśmy wolno, mijając po drodze każdą dziurę i nierówność, na których podskakiwałam i uderzałam głową o pokrywę. Było mi niedobrze, szalałam ze strachu, z kolei plastikowe paski wrzynały się w skórę przy nawet najmniejszym ruchu, dlatego w końcu przestałam szukać sposobu na ich rozerwanie.

Zastanawiałam się, co ze mną zrobią. Powinnam chwycić resztki nadziei i wierzyć, że uda się to wszystko jakoś polubownie rozwiązać, ale nie mogłam. Nie miałam złudzeń, że wyjdę z tego cało. Moja jedyna szansa na przetrwanie zniknęła w chwili, gdy trafiłam w łapska potworów. Teraz już nic nie zależało ode mnie.

Nie umiałam też nie rozmyślać o tym, czy śmierć będzie bolesna. Na filmach zawsze wyglądało to szybko: jeden celny strzał i po sprawie. Jednak nie potrafiłam wymazać z pamięci nieszczęśnika z klubu. On nie zginął od razu. Żył jeszcze kilkadziesiąt sekund, walcząc o oddech. Na samo wspomnienie widoku jego cierpienia moje ciało przesywała panika. Nie chciałam umierać. A już na pewno nie tak.

Coś wbijało mi się w plecy, na zakrętach rzucało mną na boki, ostry zapach płynu hamulcowego i benzyny szczypały w nos. Było zimno, ciemno, niewygodnie. Każdy kolejny przejechany odcinek wzbudzał we mnie większy niepokój. Kombinowałam, starając się opracować jakąś strategię, ale niczego nie działałam. Desperacja podsuwała mi pomysł za pomysłem, lecz wszystkie okazały się nie do zrealizowania. Kiedy przypominałam sobie o telefonie w kieszeni, później po wielu próbach i błędach wreszcie dałam radę go wyciągnąć i gdy już widziałam w podświadomości, jak wybieram numer alarmowy, podskoczyliśmy na koleinie. Komórka zsunęła się w lukę między tylnymi siedzeniami, zostawiając mnie w rozpacz.

Po jakichś dwudziestu minutach jazdy samochód nagle się zatrzymał. Zapadła cisza, po której usłyszałam trzaśnięcie drzwiami i zbliżające się kroki. Nie rozumiałam, co się działo, ponieważ byłam pewna, że zawiozą mnie prosto do Krakowa, tymczasem nawet nie zdążyliśmy opuścić miasta.

Jeden z mężczyzn otworzył bagażnik, drugi przyjrzał mi się uważnie, po czym szarpnął za ręce i bez słowa mnie z niego wyciągnął. Stałam chwiejnie na nogach, ledwo mogąc utrzymać równowagę przez blokadę na kostkach, następnie rozejrzałam się wokół zamglonym wzrokiem. Znajdowaliśmy się na środku pustej polany. Na prawo biegło skute lodem pole uprawne, teraz zapomniane i czekające na wiosnę, z kolei po lewej rósł gęsty, prawdopodobnie wielokilometrowy las.

I wtedy wszystko pojęłam. To tutaj zginę.

– Zostawcie mnie, błagam. – Spojrzałam na nieznajomych ze łzami w oczach. – Niczego nie widziałam, nic nikomu nie powiem, przysięgam! – przekonywałam. – Wyjadę, zniknę, obiecuję! Proszę, dajcie mi odejść... – wyrzucałam z siebie słowo za słowem, jednocześnie zachłystując się mroźnym powietrzem. Miałam głęboko gdzieś dumę czy zachowanie godności. Chciałam żyć, do kurwy nędzy! – Będę grzeczna, proszę, proszę!

Faceci w milczeniu wysłuchali moich pojękiwań i kiedy już myślałam, że zdołam ich przekonać, jak na zawołanie wybuchnęły śmiechem. Ten, którego kojarzyłam z knajpy, zatrzasnął bagażnik, natomiast jego kumpel złapał mnie pod ramię i zaciągnął kawałek dalej, aż przystanęliśmy tak, że zostałam oparta o bok auta.

Wciąż lamentowałam, próbując przemówić do ich sumienia, ale nie zwracali na to uwagi. Było im obojętne, czy ucichnę, czy nie, bo w promieniu kilkuset metrów nie znajdował się nikt, kto mógłby mnie usłyszeć. Moi porywacze odeszli parę kroków od pojazdu i zaczęli rozmawiać. Gestykulowali, śmiali się i potakiwali przez chwilę głowami, więc wreszcie przestałam zawodzić, aby wyłapać cokolwiek z ich wypowiedzi. Wtedy oni też zamilkli, a ja już wiedziałam, że mój los został przesądzony.

Gość z klubu odpalił papierosa. Stał w miejscu, podczas gdy jego towarzysz ruszył w moją stronę, obcinając mnie z góry do dołu rozbieganym wzrokiem. Zadrżałam. Miał w oczach coś takiego, że automatycznie poczułam jeszcze większy strach, o ile było to w ogóle możliwe.

– Fajna ta mała – zwrócił się do kumpla. Złapał za kosmyk moich włosów i owinał go sobie wokół palca, przesuwając językiem po zębach. – W sumie szkoda, żeby się zmarnowała. – Przyłożył dłoń do krocza, potarł je, następnie poruszył brwiami i do mnie mrugnął.

Chyba cała krew odpłynęła mi z twarzy. Kolana się pode mną ugięły, serce zamarło, a ciało zalała fala gorąca. Nie, nie,

nie, tylko nie to! Już wolałam umrzeć. Patrzenie na niego sprawiało niemal fizyczne katusze. Szeroka szczeka, duży zakrzywiony nos, zniszczona cera oraz wielkie zakola składały się na istic odstręczający obraz. Sama myśl, że mógłby mnie dotknąć w intymny sposób, napawała obrzydzeniem. W porównaniu z tym wizja śmierci całkiem przestała przerażać. Wszystko byłoby lepsze niż perspektywa tego, że finalne minuty mojego życia zamienią się w najgorszy koszmar.

Facet z papierosem głośno westchnął. Zaciągnął się jeszcze raz, upuścił niedopałek na ziemię i go rozdeptał, po czym zaczął iść w kierunku rosnących nieopodal krzaków.

– Dobra, jak sobie chcesz – powiedział, zerkając przez ramię. – Skoczę się odlać. Masz kwadrans, potem kończymy zabawę i spierdalamy, bo czeka na nas kolejna robota.

Stałam jak skamieniała, z niedowierzaniem rejestrując, co się działo. Nie mogłam się poruszyć, uciec ani w żaden sposób zapobiec temu, z czym miałam się zaraz zmierzyć. Na próżno próbowałam wymyślić, jak z tego wybrnąć. Znajdowaliśmy się tu sami, w szczerym polu, zimną nocą. Wiedziałam, że nikt mnie nie uratuje. Umrę, bestialsko z maltretowana, porzucona i zapomniana. Łzy samoistnie spłynęły mi po twarzy.

Mężczyzna zamruczał gardłowo, obrócił mnie przodem do auta i pochylił, aż przycisnęłam policzek do maski. Podciągnął mi kurtkę i ścisnął za pośladek, jednocześnie grzebiąc ręką przy swoim rozporku, co poznałam po dźwięku sprzączki od jego paska. Starłam się szarpać czy wrywać, ale to wyłącznie bardziej go nakręcało i zachęcało do brutalności. Gdy parokrotnie uderzył mną o blachę, przestałam walczyć, ponieważ już zrozumiałam, że stawiając opór, niczego nie zdziałam.

Poczułam bolesny ucisk w podbrzuszu, kiedy facet próbował rozsunać mi nogi. Nie udało mu się, wówczas pomyślałam, że to może być moja jedyna nadzieja. Jeśli zdołam

to maksymalnie utrudnić, zmuszę go do rozcięcia opaski na kostkach, a wtedy – przy odrobinie szczęścia – jakoś się z tego wyplączę.

Nieznajomy gmerał dłonią pomiędzy moimi udami, próbował zdjąć mi spodnie, kłął i używał siły, jednak byłam nieugięta. Zagryzałam wargi, aby nie zawyć z cierpienia, a w tym samym czasie zaciskałam mięśnie, byle jak najdłużej odwlekać nieuniknione. Smród potu mieszał się z odorem nieświeżego oddechu, gdy drań raz za razem przybliżał usta do mojego ucha i szepetem wyliczał, co ze mną zrobi.

Trzęsłam się ze strachu, bólu i obrzydzenia, lecz nadal nie dawałam za wygraną. Mężczyzna zdołał wsunąć mi rękę pod bluzkę, bezdusznie ścisnął piersi, ale to tyle. Tak mocno trzymałam nogi blisko siebie, że wreszcie skapitulował. Wyjął z kieszeni nóż, kucnął i przeciął opaskę zaciskową.

O mało nie wrzasnęłam z radości, niemniej powstrzymałam entuzjazm. Najgorsze dopiero przede mną. Teraz musiałam działać szybko i bezbłędnie. Wzięłam głęboki wdech. Kiedy gość złapał mnie za biodra i obrócił, by pozbawić ubrań, zebrałam w sobie całą determinację. Najmocniej, jak umiałam, kopnęłam go kolanem w przyrodzenie, a gdy facet skulił się z sykiem, uderzyłam raz jeszcze, trafiając w nos.

Runął na ziemię i zduszonym jękiem wołał kumpla. Nadeszła jedyna okazja do ucieczki, nim mój niedoszły gwałcielec dźwignie się do pionu lub jego kompan zdąży zareagować. Niewiele myśląc, ominęłam leżącego przede mną bydlaka i puściłam się biegiem w stronę lasu. Wiedziałam, że na otwartej przestrzeni nie uda mi się przed nimi ukryć, natomiast gęstwina pomoże zostać niezauważoną.

Słyszałam za sobą podniesione głosy, przekleństwa oraz nawoływania, którym po chwili zawtórowały też huki wystrzałów. Czułam zbyt duże przerażenie, żeby się odwrócić i sprawdzić odległość między nami. Biegłam niemal na oślep, nie widząc

za wiele, ale cieszyłam się z ciemności. Dzięki temu żadna z kul nie była na tyle celna, aby mnie dosięgnąć.

Pot sływał mi ciurkiem wzdłuż kręgosłupa, mroźne powietrze szczypało w policzki, a związane z przodu dłonie nie pomagały w utrzymaniu równowagi, lecz dawałam z siebie wszystko, byle tylko dotrzeć do linii drzew. Pochyliłam głowę, kiedy jeden z pocisków przeleciał milimetry od mojego ucha, przyspieszyłam i gnałam dalej. Nawet jeśli mnie dogonią i zabiją, przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam.

Jednak nie zdążyli. Z niespotykaną ulgą wskoczyłam w zarośla, lawirując pomiędzy krzewami oraz masą wyrastających przede mną konarów. Pojedyncze gałęzie uderzały mnie w twarz, ocierały skórę i haratały każdy niezasłonięty skrawek ciała, ale zaciskałam zęby, by stłumić bolesne jęki, ponieważ to dodatkowo mogłoby zdradzić moją lokalizację. Wystarczył mi strach, że mogą wychwycić odgłosy przedzierania się przez krzaki. Choć od dłuższego czasu nie słyszałam niczego poza swoim zziąjanym oddechem, postanowiłam nie ryzykować, że zostanę namierzona.

Ślizgałam się na mokrych liściach, potykałam na nierównym terenie, przewracałam i podnosiłam, potem znów biegłam naprzód. Przystanęłam na dłużej dopiero kilkaset metrów dalej, gdy się zorientowałam, że nie mam pojęcia, gdzie jestem. Dookoła panowała złowroga cisza. Srebrny księżyc wisiał wysoko na grafitowym niebie, rozłożyste korony drzew szumiały na wietrze, a ja rozglądałam się na boki, nie wiedząc, dokąd iść.

Moi porywacze chyba już dawno odpuścili. Musieli stwierdzić, że gonienie mnie straciło sens, bo i tak tutaj nie przetrwam. Nagle początkowa radość z ucieczki doszczętnie wyparowała. Utknęłam tu sama, bez jedzenia, wody, telefonu, który został w bagażniku, ciepłego miejsca do spania oraz perspektyw na przeżycie.

Przycupnęłam na jednym z pni i siedziałam na nim dobry kwadrans, obserwując otoczenie. Kiedy trochę się uspokoiliam, odpoczełam, a siarczysty mróz zaczął pomału wdzierać się aż do kości, wstałam i poszłam przed siebie. Nie byłam pewna, jak ani czy w ogóle dam radę doczekać poranka, ale jeśli miało mi się udać, musiałam o to zawalczyć.

I za wszelką cenę zamierzałam tego dokonać.



MÓJ PLAN

Zamarzałam.

Nie miałam pojęcia, która była godzina, ale podejrzewałam, że nie dalej jak pierwsza w nocy, czyli do rana pozostało przynajmniej z pięć kolejnych. To nie napawało mnie optymizmem, aczkolwiek wiedziałam, że przede wszystkim nie mogę wpaść w panikę. Robiłam krok za krokiem, analizując i na chłodno oceniając swoje szanse oraz drogę przed sobą. Panował mrok, liście szeleściły, nierówna gleba powodowała, że co rusz się potykałam albo ślizgałam na zlodowaciałym podłożu.

Światło księżyca dawało niewiele blasku – raczej lekko prześwitywało przez utkaną z rozłożystych gałęzi kopułę, jednak to i tak lepsze niż nic. Na szczęście w listopadzie jeszcze nie padał śnieg, inaczej już całkiem bym się poddała, tymczasem temperatura oscylowała gdzieś pewnie w okolicach zera stopni. Kiedy podczas postojów czułam, że zaraz zamienię się w sopel lodu, podskakiwałam i wykonywałam różne proste ćwiczenia, byle nie dopuścić do hipotermii. To rozgrzewało mnie na tyle, że miałam siłę iść dalej.

Błądziłam krętymi ścieżkami, raz szybciej, raz wolniej, to przystawałam, to za chwilę gnałam naprzód. Nie pozwalałam sobie na słabość ani załamanie czy użalanie się nad sobą. Chciałam przetrwać. Moja wola walki była znacznie większa, niż początkowo przypuszczałam. Wydawało mi się, że jestem słaba, natomiast teraz dawałam z siebie sto procent oraz wykorzystywałam pokłady energii, o jakiej nie miałam pojęcia. Pragnęłam ujrzeć świt.

Poza chłodem i strachem najbardziej doskwierał mi brak swobody, bo o ile krążenie po lesie ciemną nocą zakrawało na niemożliwe do ogarnięcia, związane ręce komplikowały to jeszcze mocniej. Kilkakrotnie próbowałam jakoś przeciąć albo rozerwać opaskę na nadgarstkach przy pomocy wystających z pni pozostałości po gałęziach lub ostrzejszych fragmentów kory, niestety bez zadowalających rezultatów. Po wielu porażkach w końcu wzięłam solidniejszy patyk, który pomagał mi w wędrówce. Byłam coraz bardziej senna i wycieńczona, więc mogłam się na nim podpierać, a poza tym mógł też posłużyć do obrony przed dziką zwierzyną. Jak na razie na nic nie trafiłam, ale nieraz coś zaszeleściło w zaroślach czy wydało głośniejszy dźwięk nieopodal mnie. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że wąty kijek okazałby się bezużyteczny przy spotkaniu z niedźwiedziem albo dzikiem, lecz samo to, że go miałam, dodawało mi otuchy.

Gdy wyczerpałam umysł, przypominałam sobie pięć podstawowych zasad survivalu. Michał był ich fanem, swego czasu nałogowo oglądał poczynania Beara Gryllsa i jemu podobnych podróżników gustujących w sztuce przetrwania. Wiecznie doprowadzał mnie tym do szału, bo ile można oglądać ganiających po krzakach odludków, jednak teraz dziękowałam wszystkim istniejącym bóstwom za godziny zmarnowane przed telewizorem. Okoliczności, w których się znalazłam, były totalnie odmienne od tych przedstawianych w programach na Discovery, dlatego wiedza z nich wyniesiona niewiele pomogła, ale przynajmniej miałam czym zająć myśli.

Wiedziałam, że powinnam zdobyć i uzdatnić wodę, niestety dotąd nie natknęłam się na żadne źródło, rzekę ani strumień. Jedzenia też nie znalazłam, ponieważ było za ciemno, a wolałam nie ryzykować zrywania czegoś niewiadomego pochodzenia, za to wygrzebałam z kieszeni spodni gumę do żucia. Smakowała dziwnie, pewności nie miałam, ale przy-

puszczałam, że mogła zaliczyć jakieś wirowanie z płukaniem, niemniej wybrałam ją niż nic.

Rozpalenie ogniska nie wchodziło w grę. Co prawda chruštu leżało pod dostatkiem, problemem był ogień. W teorii brzmiało prosto: weź dwa kamienie i uderzaj jednym o drugi. Tyle że zrobienie tego ze związanymi rękami stanowiło nie-małe wyzwanie, nie wspominając już o tym, że wilgotne liście raczej szybko nie zaczęłyby płonąć. Pewnie zastałby mnie poranek, zanim cokolwiek bym zdziałała.

Kolejny punkt to znalezienie schronienia. Parę razy widziałam, jak Bear budował szałas czy prowizoryczny daszek z gałęzi, więc wybranie dużego drzewa i rozbicie przy nim obozowiska nie wydawało się jakąś większą filozofią, lecz po dłuższych rozważaniach uznałam, że mogłoby się to dla mnie skończyć tragicznie. Bałam się, że gdybym zwyczajnie zwinęła się gdzieś w kłębek bez dostępu do paleniska, śpiwora albo chociażby grubszej odzieży, zamarzyłabym we śnie. Ta wizja skutecznie wybiła mi ten pomysł z głowy. Wolałam iść naprzód, nawet jeśli niezbyt wiedziałam dokąd. Poza tym nie mogłam zakładać, że rano nikt nie zacznie mnie szukać, bo przecież zaplanowano moją śmierć. Chociaż... Pewnie uznali, że natura sama to za nich rozwiąże.

Ostatni krok stanowiła nawigacja. Ponieważ nie miałam kompasu, GPS-a czy wręcz zwykłej mapy, sprawa lekko się komplikowała, ale nie była beznadziejna. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam cały czas podążać w jedną stronę, aby nie błądzić i nie kręcić się w kółko. Na plus przemawiało także to, że nie przebywałam w tym lesie po raz pierwszy. Mimo iż nocą nic nie sprawiało wrażenia znajomego, bo przyjeżdżałam tu zawsze za dnia z rodzicami na wycieczki rowerowe albo zbieranie grzybów z dziadkami, pamiętałam kilka charakterystycznych punktów odniesienia. Gdzieś na pewno płynął potok, mieściły się również bagna, ruiny starego miasta

czy nawet powojenny bunkier. Gdybym znalazła któreś z nich, mniej więcej zorientowałabym się w terenie.

Na razie skupiałam uwagę na innych możliwościach. Astronomia i tym podobne klimaty nigdy nie należały do moich pasji, ale znałam podstawy. Kołatało mi się z tyłu głowy, że Wielka Niedźwiedzica pomaga wyznaczyć Gwiazdę Północną, gdyż to ta najjaśniejsza, jaka znajduje się nad jej konstelacją, jednak choć wyteżałam wzrok, niczego nie dostrzegłam. Niebo było dziś ciemne niczym otchłań. Zupełnie jak moja gasnąca nadzieja...

Po dłuższym namyśle wygrzebałam z pamięci coś jeszcze – większość drzew jest ponoć obrośnięta mchem od północy. Postanowiłam się o tym przekonać. Kosztowało mnie to sporo prób i błędów, które polegały głównie na głaskaniu i przytulaniu pni, bo przez panujący wokół mrok nie zdołałam tego ocenić na odległość, lecz udało mi się oszacować odpowiedni kierunek, po czym właśnie nim podążyłam.

Zadziwiająco, ile rzeczy sobie przypomniałam, gdy alternatywą była śmierć.

* * *

Brzask okazał się mroźny. Odniosłam wrażenie, jakby temperatura spadła o następne kilka stopni. Instynkt mi podpowiadał, abym opatuliła się ramionami, jednak z wiadomych względów nie było to możliwe. Szczękałam zębami, dygotałam i z coraz większym trudem stawiałam kolejne kroki. Przynajmniej wiedziałam, że cały czas szłam w dobrą stronę. Utwierdziło mnie w tym leniwie wyłaniające się zza horyzontu słońce, które bez wątpienia musiało się teraz znajdować na wschodzie. Dzięki niemu też określiłam porę na szóstą trzydzieści, może siódmą rano. Niestety wciąż nie miałam bladego pojęcia, jak się stąd wydostać. Wszędzie wokół widziałam same drzewa, krzewy, trawy i kręte ścieżki usypane kamieniami, liśćmi czy kawałkami

połamanych gałązek. Żadnych śladów kół, butów ani czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że ta droga była uczęszczana.

Wdech, wydech i do przodu.

Głód wykręcał mi żołądek, usta spierzchły, język wydawał się wyschnięty na wiór, ale i tak najgorsze było zimno. Niby miałam na sobie ciepłą kurtkę, taką zimową, nie jesienną, botki z grubą, gumową podeszwą również powinny zdać egzamin, mimo to czułam, jakbym paradowała w letniej sukience. Chłodny wiatr wdzierał się pod materiał, chłostał skórę, przenikał do krwiobiegu. Naprawdę zamarzałam i zaczynałam szczerze wątpić, że długo to wytrzymam. Bolały mnie nogi, plecy, ręce – generalnie wszystko. Chciało mi się wyc z bezsilności!

Dla odciążenia myśli od snucia przerażających scenariuszy skupiałam uwagę na obserwacji otoczenia. Nie znałam się na ptakach, lecz słyszałam, że jakieś kręciły się w pobliżu, wydając z siebie znajome dźwięki. Mogły to być kruki, może gawrony, w każdym razie któreś z tych z czarnym upierzeniem, bo niekiedy dostrzegałam na niebie ich sylwetki.

Wdech, wydech, następne parę kroków.

Ze dwa razy gdzieś nieopodal mnie przebiegła sarna albo jelen, po drzewach ganiały pojedyncze wiewiórki, wydawało mi się też, że widziałam lisa, ale mógł to być jedynie wytwór mojej wyobraźni. Nocą wyolbrzymiałam każdy szelest czy cień, widziałam nieistniejące kształty, ale teraz, o poranku, las nie sprawiał już wrażenia takiego przerażającego. Wciąż nie czułam się w nim dobrze, lecz pomyślałam, że gdybym nie trafiła tutaj wbrew swojej woli, może nawet znalazłabym garstkę rzeczy, które były warte podziwiania – albo powoli traciłam rozum.

Kolejny wdech i wydech, a wraz z nimi dalsza wędrówka.

Na prawo las, na lewo las. *Szlag, ile jeszcze?!* Gdy mróz pomału zaczynał odpuszczać, zebrało mi się na złorzeczenie na cały świat. Zastanawiałam się, czym sobie zasłużyłam na taki los. I tak pomiędzy jednym przekleństwem i drugim niespodziewanie

zamajaczył przede mną wąski strumień. Zamrugałam, wątpiąc w jego prawdziwość. Sądziłam, że zmysły płatały mi figle, ale nie. Kiedy podeszłam bliżej, naprawdę go widziałam.

Od razu podbiegłam do wody. Cholernie chciało mi się pić, niestety nie wyglądała na zbyt czystą. Przez dłuższą chwilę walczyłam sama ze sobą, po czym ostatecznie odmówiłam sobie nawet łyka, ponieważ za wiele poświęciłam, by przetrwać, żeby teraz umrzeć na zatrucie. Postanowiłam iść dalej w dół biegu, licząc na to, że później rzeka zrobi się czystsza, albo może dotrę do jakiegoś miasteczka.

Jak na złość nurt był piekielnie powolny. Stałam w miejscu przez dobre parę minut i próbowałam określić stronę ujścia, a gdy nie przyniosło to rezultatu, z braku lepszych opcji wrzuciłam do wody kawałek gałązki. Patyk popłynął, więc i ja ruszyłam w tym samym kierunku.

Wstąpiła we mnie nowa siła. Nadzieja dodała mi otuchy na tyle, że praktycznie zapomniałam o chłódzie i zmęczeniu. Myślałam już tylko o wygranej. Wierzyłam, że zaraz natknę się na jakąś asfaltową drogę, ludzi albo przynajmniej ciepłe schronienie, gdzie będę mogła się ogrzać i znaleźć coś do jedzenia. I faktycznie już po jakimś kwadransie zza drzew wyłoniła się nieduża polana, na której stał dom, a w sumie zwykła drewniana chatka. Pognałam do niej jak na skrzydłach, nie wahając się ani sekundy. Nie miałam pojęcia, czy istniała naprawdę czy to omam, fatamorgana lub umarłam i jestem w niebie. Zresztą niezbyt mnie to nawet obchodziło. Najważniejsze, że każda komórka mojego ciała czuła zbliżający się ratunek.

Weszłam na werandę, podtrzymywaną przez dwa solidne filary, podeszłam do drzwi i do nich zapukałam. Gdy nikt mi nie otworzył, zaczęłam zaglądać do okien. Firanki nie pozwoliły za wiele zobaczyć, ale sam fakt ich istnienia utwierdził mnie w przekonaniu, że ktoś musiał tu mieszkać albo chociaż czasem zaglądać. Zastukałam ponownie, potem jeszcze ze trzy razy,

a kiedy nadal nie dosłyszałam niczego, co świadczyłoby o czyjejś obecności, zaczęłam obserwować otoczenie w poszukiwaniu jakiejś możliwości na dostanie się do środka. Skoro domek stał pusty i niepilnowany, uznałam, że właściciel nie będzie miał nic przeciwko, jeśli na chwilę się tutaj schronię. Nie zamierzałam przecież niczego kraść. Rozgrzeję się, odpocznę, później po sobie posprzątam i pójdę dalej.

Jasne, to wciąż włamanie, lecz usprawiedliwione.

Przeszukałam górną część framugi, żeby znaleźć klucz. Nic. Sprawdziłam stojącą kawalek od schodów donicę, następnie przeróżne ubytki w elewacji oraz mniejsze i większe szczeliny – z zerowym skutkiem. Poczułam rozczarowanie. Byłam już tak blisko, że nie mogłam się po prostu poddać i odejść, bo wiedziałam, że długo nie wytrzymam. Bez sprzętu, przeszkolenia oraz fachowej wiedzy pożyję co najwyżej kilkanaście godzin.

Oparłam plecy o ścianę, osunęłam się po niej na podłogę, po czym cicho zapłakałam. Skończyły mi się pomysły, jednak nie chciałam wybijać szyb. Posiedziałam przez chwilę, uzalając się nad własną niedolą, a kiedy wstałam, nieoczekiwanie dostrzegłam oświetlony jasnym promieniem słońca klucz. Jak gdyby nigdy nic dyndał sobie na sznurku powieszonym na starym, zardzewiałym gwoździu. Ze zdziwienia aż popatrzyłam na boki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś mnie nie obserwuje. Wydało mi się to podejrzane, jednak z drugiej strony mogłam znajdować się tak daleko od cywilizacji, że nikt nie sądził, że ktoś zapuści się w te rejony.

Ostatecznie odgoniłam złe przeczucia, uśmiechnęłam się, zgarnęłam znalezisko i wsunęłam je do zamka, potem powoli przekroczyłam próg, jednocześnie zamykając za sobą drzwi. Wewnątrz było czysto, dość ciepło, przynajmniej w porównaniu z tym, co działo się na dworze, i surowo. Nie spartańsko, zwyczajnie skromnie. W centralnej części stał stół z kompletem

krzesel, po prawej zauważyłam kanapę, kominek i jakieś regały, po lewej zaś mieściła się kuchnia.

W pierwszej kolejności podeszłam właśnie tam. Odkręciłam kran nad zlewem, żeby zaspokoić pragnienie. Piłam łączywie, łyk za łykiem, nie mogąc się nasycić. Gdy skończyłam, otarłam mokrą brodę rękawem, później zaczęłam wysuwać szuflady, aż znalazłam nóż. Nie wyglądał na zbyt ostry, mimo wszystko spróbowałam rozciąć nim opaskę na nadgarstkach. Zakłęłam. Był ostry, i to pieruńsko! Upuściłam go, kiedy ześlizgnął się z plastiku i drasnął skórę na palcu. Nie chciałam zakrwawić kuchni, więc szybko wstawiłam rękę pod strumień, ale i tak kilka kropel skapnęło na drewnianą posadzkę. *Co za...*

Umilkłam, zakręciłam kurek, po czym momentalnie cała się spięłam, jak tylko do moich uszu dotarł cichy odgłos stukających o werandę butów, jakby ktoś starał się pozbyć z nich resztek błota. Nim zdążyłam pomyśleć i jakoś na to zareagować, drzwi otworzyły się ze zgrzytem, a w nich stanął mężczyzna z ogromnym psem.

Facet miał na sobie grubą kurtkę z kapturem, który zasłaniał mu większość twarzy, tak że widziałam raptem gęstą brodę, wąsy oraz parę ciemnych oczu. Wyglądał jak Yeti albo inne dzikie stworzenie, poza tym trzymał w dłoni długą strzelbę. Zrobiło mi się słabo na samą myśl, że zaraz mnie z niej zastrzeli za to, że naniósłam brudu i zalałam krwią jego skrzętnie wysprzątaną chałupę.

Pisnęłam. Pies zawarczał.

Cholera, co teraz?!



MÓJ AZYL

Przez chwilę staliśmy w bezruchu, mierzając się nieodgadnionymi spojrzeniami – ja panicznie kombinowałam, jak się stąd wydostać, on ścisnął broń w dłoni. Każda sekunda wydawała się trwać wiecznie.

– Spokój, Pogo – przemówił nieznajomy, a ujadający dotąd pies natychmiast zamilkł na rozkaz swojego pana i usiadł tuż przy jego stopach. Przez bujny zarost nie umiałam określić wieku mężczyzny. Zgadywałam, że mógł mieć czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Kaptur oraz wystająca spod niego czapka zasłaniały czoło, toteż nie mogłam dostrzec żadnych charakterystycznych dla dojrzałych osób zmarszczek. Gość był za to wysoki i barczysty, a tembr głosu miał tak twardy i niski, że powietrze w pomieszczeniu niemal zadrgało.

Nie wiedziałam, co robić. Sterczałam tam wystraszona, krew z palca ciekła mi po ręce, więc drugą starałam się łapać każdą kroplę i patrzyłam na boki, próbując wymyślić jakieś usprawiedliwienie, dlaczego się włamałam. Facet nic więcej nie powiedział, jedynie uważnie mi się przyglądał, jakby czekał, aż się wytłumaczę. Jego wzrok spoczął na moich związanych nadgarstkach, potem zjechał niżej na leżący na podłodze nóż, by na koniec ponownie zatrzymać się na twarzy. Obserwował mnie w całkowitej ciszy.

– Przepraszam – powiedziałam wreszcie, zanim nieznajomy wyciągnąłby jakieś pochopne wnioski. – Nie zamierzałam niczego kraść, chciałam się tylko ogrzać. Przepuść mnie. Zniknę

i nigdy więcej nie wrócę. – Ciężko przełknęłam ślinę. – Nie rób mi krzywdy, proszę.

Mężczyzna podążył za moim spojrzeniem i zerknął na strzelbę w taki sposób, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż ją trzyma. Odchrząknął, położył broń na znajdującej się przy wyjściu szafce, następnie oddalił się od progu, wołając psa za sobą.

– Możesz odejść, jeśli chcesz – oznajmił, na co automatycznie zrobiłam krok w kierunku drzwi. – Ale jeśli postanowisz zostać, będę zaraz przygotowywał śniadanie. – Przeszedł przez pokój, zatrzymał się kawałek dalej i zaczął zdejmować kurtkę oraz resztę zimowego okrycia. Nie patrzył na mnie. Zachowywał się, jak gdyby moja obecność w ogóle go nie interesowała.

Bez słowa pognałam do wyjścia. Czułam niesamowitą ulgę, że nieznajomy pozwolił mi się ulotnić. Byłam pewna, że zechce się mścić za to, że wlałam tutaj bez zaproszenia, poszczuje mnie psem albo cholera wie, co jeszcze, tymczasem jego najwyraźniej faktycznie to nie obeszło.

Dotarłam do drzwi, a kiedy chciałam złapać za klamkę, żeby je otworzyć, z żalem popatrzyłam na opaskę zaciskową. Zakłęłam wewnętrznie. Uświadomiłam sobie, że na zewnątrz nic na mnie nie czekało. Jeżeli ucieknę, raczej długo nie pociągnę, szczególnie że nie miałam bladego pojęcia, dokąd powinnam iść.

Pomału odwróciłam się do mężczyzny. Kucał teraz przy kominku i wybierał z niego popiół, pewnie robiąc miejsce na wrzucenie szczap drewna, które leżały obok ułożone w równy stosik w metalowym koszu. Na samą myśl o płomieniach zrobiło mi się błogo. Zagryzłam wargę i cofnęłam się w głąb pomieszczenia.

– Zjem z tobą, jeśli to naprawdę nie problem – zagadnęłam. Byłam głodna, nie dało się temu zaprzeczyć, choć od jakiegoś czasu już nie burczało mi w brzuchu. Podejrzewałam, że mój organizm po prostu nie miał na to siły, bo tak skrajnie go wycieńczyłam.

– Nie problem – odmruknął, nie odrywając się od pracy.

Niezbyt wiedziałam, jak na to zareagować, więc jedynie podziękowałam, powoli podeszłam do stołu, po czym usiadłam na jednym z krzeseł i obserwowałam szerokie plecy nieznanego. Po paru minutach spędzonych w kompletnym milczeniu, podczas których facet czyścił kominiek, a potem w nim rozpałał, doszłam do wniosku, że chyba mieszka na odludziu, ponieważ nie przepada za towarzystwem. Sprawiał wrażenie niezainteresowanego ani mną, ani tym, skąd się tu właściwie wzięłam. Z drugiej strony uznałam to za plus, bo jakoś wcale nie czułam potrzeby zwierzać mu się z niczego.

Gdy drwa zaczęły z wolna zajmować się ogniem, mężczyzna wstał z kucek i ruszył do kuchni, natomiast jego pies ułożył się wygodnie przy palenisku. Nie znałam się na rasach, jednak podejrzewałam, że to jeden z tych gończych. Był bardzo szczupły, sierść miał krótką, jasnobrązową, trochę jak kawa z mlekiem, a duże uszy płasko spływały na podłużny pysk. Kojarzyłam, że dziadek kiedyś miał podobnego, choć nie tak posłusznego jak ten.

– To wyżeł weimarski, najlepszy myśliwy, jakiego znam – wyjaśnił mój towarzysz, najwyraźniej widząc, że z ciekawością przyglądam się jego pupilowi. Przeniosłam uwagę na rozmówcę, żeby mu odpowiedzieć, wtedy zauważyłam, że stał tuż obok mnie z nożyczkami w dłoni. Instynktownie się uchyliłam. Minę musiałam mieć przerażoną, ponieważ facet od razu odsunął się na jakiś metr. – Zdejmę ci to paskudztwo, jeśli pozwolisz. – Wskazał na moje nadgarstki, wówczas zrobiło mi się odrobinę głupio, że tak nerwowo na to zareagowałam.

– Tak, poproszę. – Nieśmiało wyciągnęłam przedramiona do przodu, aby ułatwić mu zadanie.

Nieznamy podszedł bliżej, ostrożnie wsunął ostrze pomiędzy przeguby moich rąk, po czym rozciął plastik i ponownie się cofnął. Rozmasowałam podrażnioną skórę w miejscu, gdzie paski wrzynały się najmocniej, przez co zostawiły mi pamiątkę w postaci czerwonych pręg i siniaków, a czasem nawet bardziej

krwawych śladów. Mężczyzna także utkwiał w nich wzrok, więc jak tylko to wyłapałam, szybko naciągnęłam rękawy kurtki.

Wychwyciłam też coś więcej. Chociaż mój gospodarz był nieco zapuszczony, wcale nie wyglądał na wiek, na jaki go wcześniej oceniłam. Miał dłuższe, rozczochrane włosy oraz zdecydowanie niechlujny zarost, który już dawno musiał mu się wymknąć spod kontroli, ale poza tym dość gładka cera i brak siwizny wskazywały na to, że mógł liczyć sobie maksymalnie trzydzieści kilka lat. Przypominał trochę Toma Hardy'ego z filmu *Zjawa*.

Obserwowałam go o parę sekund za długo, bo w końcu nasze oczy się spotkały. W jego szaroniebieskich tęczówkach odnalazłam ten sam smutek, pustkę i samotność, jakie i ja ostatnio odczuwałam. Złapałam się na tym, że zaczęłam się zastanawiać, czy zamieszkał w tej pustelni, aby odciąć się od ludzi, którzy go zranili.

– Dziękuję – szepnęłam, przerywając ciszę, a także naszą krępującą wymianę spojrzeń.

Facet zabrał nożyczki, odszedł i włożył je do jednej z szuflad w kuchni.

– Tam jest łazienka. – Skinął głową na lewo, dopiero wtedy dostrzegłam małe przejście, z istnienia którego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. – Możesz się odświeżyć przed śniadaniem.

Odpowiedziałam mu słabym uśmiechem i poszłam w wyznaczonym kierunku. Weszłam na korytarz trzema wąskimi schodami. Na jego końcu zauważyłam uchylone drzwi do toalety, ale zanim do niej dotarłam, po drodze przystanęłam przy innym otwartym pokoju. Była to nieduża, zachowana w idealnym porządku sypialnia: łóżko, dwa stoliki nocne, fotel, podłużna szafa i okno. Na ten widok w mig przypomniało o sobie zmęczenie. Ziewnęłam, idąc dalej, a kiedy znalazłam się w ubikacji, od razu się rozbudziłam, gdy wyłapałam swoje odbicie w lustrze.

Nic dziwnego, że gość mnie tu wysłał, bo wyglądałam tragicznie. Nos był siny i ubrudzony zaschniętą krwią, usta miałam

spierzchnięte, włosy zmierzwione i poprzetykane gdzieniegdzie kawałkami liści czy odłamkami gałęzi, które musiały się wczepić podczas przechodzenia między drzewami. Do tego twarz oraz kurtkę pokrywały plamki zaschniętego błota, co w sumie nie dziwiło, ponieważ przewracałam się tyle razy, że pewnie wysprzątałam pół lasu.

Westchnęłam, zbliżyłam się do umywalki, by w miarę doprowadzić się do ładu, potem wróciłam do kuchni, gdzie na stole czekały już rozłożone talerze. Zobaczyłam tosty, jajka sadzone, gotowaną kiełbasę, a nawet gorącą herbatę. Nie było mnie góra kwadrans, on natomiast zdążył to wszystko przygotować lub przynajmniej podgrzać, bo może miał to wcześniej poporcjowane. Z ciekawości chciałam zapytać, skąd wziął chleb pośrodku niczego, lecz unoszące się w powietrzu zapachy sprawiły, że język uwiązał mi w gardle.

Powiesiłam brudną kurtkę na oparciu krzesła, usiadłam i w milczeniu zabrałam się za jedzenie. Pierwszy kęs niemal wycisnął z moich oczu łzy szczęścia, ale przełknęłam je razem z grzanką, aby nie wprowadzać niezręcznej atmosfery. Mężczyzna też jadł w ciszy. Jedynym głośniejszym dźwiękiem było mlaskanie psa opróżniającego swoją miskę.

– Którędy dojdę do jakiegoś miasta? – zagadnęłam, gdy nasze talerze już prawie świeciły pustką. Musiałam niebawem ruszać, żeby dotrzeć do cywilizacji przed zmrokiem.

Mój gospodarz uniósł brwi.

– Zależy, dokąd chcesz iść – odparł. – Jesteśmy blisko ukraińskiej granicy. Jeśli planujesz ją przekroczyć, musisz się kierować na południowy wschód. Jeżeli wolisz wrócić na tereny Polski, wtedy zachód albo dalej na północ. Tak czy inaczej, najbliższa autostrada lub wioska to minimum dziesięć godzin szybkiego marszu. Wątpię, by to był dobry pomysł. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Kiedy ostatnio spałeś?

Wyprostowałam się jak struna.

– Dam sobie radę – powiedziałam trochę zbyt ostro, niż zamierzałam. – Dotarłam aż tutaj, dotrę też w drugą stronę. Jestem ci bardzo wdzięczna, że pozwoliłeś mi odpocząć i podzieliłeś się posiłkiem, jednak powinnam się zbierać. Już wystarczająco nadużyłam twojej gościnności.

Mężczyzna wstał od stołu, zaczął zbierać puste naczynia i przeszedł do kuchni. Pies momentalnie dotrzymał mu kroku.

– Masz rację, to nie moja sprawa. – Wstawił talerze do zlewu. – Twój los nie wpłynie na moje życie, możesz stąd wyjść w każdej chwili. Nie będę cię zatrzymywał. Nie mam tu telefonu, internetu ani innych temu podobnych wygód dwudziestego pierwszego wieku, więc nie pomogę ci wyznaczyć najbezpieczniejszej trasy. Mogę jedynie wręczyć starą mapę, ostrzec przed kłusownikami oraz grupami nielegalnych migrantów. Mogę też zaproponować miejsce do spania, a także transport do miasta. Raz na kilkanaście dni odwiedza mnie znajomy. Przywozi zakupy, po czym jedzie z powrotem. Będzie tu jutro albo pojutrze i bez problemu zabierze cię ze sobą. – Spojrzał na mnie przez ramię. – Jak wspomniałem, twój los jest mi obojętny, zrobisz, co uznasz za najlepsze dla siebie. Po prostu podpowiadam ci lepsze rozwiązanie niż samotne błądzenie po lesie. – Odwrócił się, puścił wodę i zabrał się za zmywanie po śniadaniu.

Siedziałam na krześle i rozważałam jego słowa. Oddałabym wiele za odrobinę snu, ale zaśnięcie w cudzym domu, w dodatku w towarzystwie obcego faceta, napawało mnie lękiem. Podejrzywałam, że nic mi tutaj nie groziło, bo gość raczej nie miał żadnych niecznych zamiarów, lecz liczył się sam fakt. Tymczasem wyjście na mróz również nie wydawało się dobrym pomysłem. Byłam zmęczona, poobijana, odciski na stopach bolały jak jasna cholera, a ubłocona kurtka i paranozonych dżinsów to kiepskie zabezpieczenie przed zimą. Miałam szczęście, że tu trafiłam, to mnie ocaliło, teraz

zaś zamierzałam z własnej woli wracać do tamtego koszmaru. Już na samą myśl robiło mi się słabo.

Pozostawała jeszcze jedna kwestia: nawet jeśli stąd odejdę, dokąd tak właściwie powinnam iść? Powrót do Krakowa odpadł, odwiedzenie rodziców oraz udanie się do domu po babci także, bo ktoś mógł obserwować oba miejsca i czekać, czy się pojawię. Najlepiej byłoby zniknąć. Wyjechać gdzieś daleko, nie oglądając się za siebie. Albo zaszyć się kilometry od kłopotów. W jakiejś dziczy... Na przykład tutaj...

Popatrzyłam na mężczyznę i przez chwilę obserwowałam, jak szoruje talerze, a potem układa je na leżącej obok suszarce. Następnie zerknęłam na siedzącego przy jego nodze psa. Ktoś, kto kocha zwierzęta, nie może być złym człowiekiem. Przynajmniej pragnęłam w to wierzyć.

– Po namyśle skorzystam z twojej propozycji – oznajmiłam, gdy nieznajomy zakręcił wodę. Uznałam, że dwa dni to wystarczająco dużo czasu na wykombinowanie, co ze sobą zrobić i jaki opracować plan na przyszłość.

Obym tylko tego nie pożałowała.

– Dobrze. – Otworzył jedną z szafek, wyjął z niej jakieś pudełko, po czym znów usiadł przy stole, ale tym razem znacznie bliżej mnie. – Daj rękę. Opatrzę twoje rany. – Tajemnicza kasetka okazała się apteczką. – Później ci pokażę, gdzie możesz się zdrzemnąć.

Położyłam dłonie na blacie i przyglądałam się, z jaką ostrożnością mężczyzna przecierał oraz bandażował skaleczenia. Wykonywał te czynności naturalnie, zupełnie jakby przerabiał je wiele razy wcześniej. To mnie zaintrygowało, lecz nie na tyle, żeby poruszyć ten temat. Uchyliłoby mu to furtkę do zadawania własnych pytań, na które z pewnością nie będę chciała udzielać odpowiedzi.

Milczenie wychodziło mi zdecydowanie lepiej.